

TVzVis Niezależna Telewizja Vis á Vis



fot. B. Kucharek

JEDYNA NIEZALEŻNA GAZETKA W KRAJU



numer 11 (180), Kraków, grudzień 2023

fot. B. Kucharek



fot. B. Kucharek

Andrzej Sikorowski

OKNO NA PLANTY (134)

Po ludzku

Święta za pasem. Czas wyjątkowy. Czas, który od dzieciństwa kojarzy się z ciepłem domu gdy za oknem mróz, ze smakiem karpia jaki nigdy później się nie powtórzy, z bliskimi przy wspólnym stole, choć wielu z nich już do niego nie zasiada. I wigilijna noc brzmiąca kołędą. Noc podczas której zwierzęta ponoć przemawiają ludzkim głosem. Zaraz, zaraz na tę myśl robi mi się słabo – niechże one radują się rycząc, becząc, piejąc, gwizdząc, gdacząc, sycząc, kumkając, wyjąc, bo ten gwar milszy dla ucha niż wszechobecny żargon mający niewiele wspólnego z ojczyzną mową. Żargon otaczający nas szczelną mgłą bełkotu sączącego się zewsząd. Niech wilk nie powtarza co chwilę że „tak naprawdę” nie jest groźny dla baranów, a niedźwiedź, że „mega” lubi „mega” miód z „mega” barci, niech osioł nie ogłasza „kohabitacji” z innymi kopytnymi w stajni. Niech rozanielone owieczki nie życzą zmiękczać (co za koszmarna moda) „radosci”, „miłosci”, „wolności”. Ten chory obyczaj przyjął się już wśród niektórych celebrytek i dziennikarek. To my tej nocy przemówmy ludzkim głosem, drapiąc za uchem mruczącego po swojemu kota. Wesołych Świąt!



fot: B. Zimowski

NIEBIESKA PATELNIĄ

Słowa: Wiesław Dymny

Muzyka: Andrzej Nowak

Wykonanie: Miki Obłoński, Ewa Sadowska, Irena Wiśniewska

Pasą się pasą barany wełniane

Chmury białe

Tak jak na patelni

Na niebieskiej łące

Owieczki niedzielne

Słońce zwiastujące

Słońce, słońeczko

Rozgrzane, złociste

Chmury białe

Pasterz złotowłosy

Białą wełnę gładzi

Halą idzie bosy

Dokąd je prowadzi!

To na niebie ponad głowami

Pasą się owieczki stadami

Niedziela wstaje rosą obmyta

Jak uczesana młoda kobieta

Poloniny modre

Kiedy w słońcu stoja

Ciepłe łąki dobre

Wielka chato moja

Pasą się pasą

Barany wełniane

Owieczki białe

Na halach niebieskich

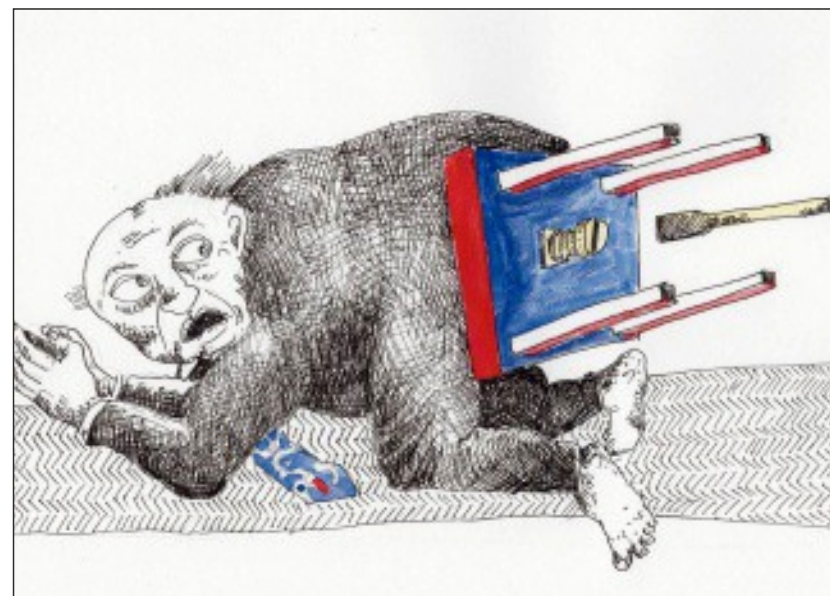
Poloninach modrych

Hale hale płyną

Hale hale giną.



Henryk Cebula - grafika





fot. archiwum

Mieczysław Czuma

JESTEŚMY PIĘKNIE ZRÓŻNICOWANI

Kto powiedział, że w tym kraju nie potrafimy różnić się naprawdę pięknie? Potrafimy otóż. I to jak jeszcze. Oto dowody. W różnych stronach naszej ziemi ojczystej to samo słowo może znaczyć coś zupełnie innego. W Krakowie na przykład „buc” (wiadoma i ważna męska rzecz) to pojęcie mocno wulgarnie i wysoce obraźliwe. Absolutnie nie wypada wypowiadać tego słowa przy paniach. A nazwanie kogoś

bucem to znak bezkresnego lekceważenia i kosmicznej pogardy.

Ale już w takim Poznaniu to powiedzonko jest o wiele bardziej przyzwoite, oznacza bowiem tylko oferme, safandulę. („Och ty bucu, wylałeś na ziemię herbatę.”) W Warszawie to również nic szczególnie gorszącego, to zaledwie pospolity kretyn, zwyczajny idiota. („Znowu, bucu, popsułeś całą robotę.”) Na pobliskim Śląsku to nasze krakowskie brzydkie słówko jest całkowicie niewinne, co więcej, może mieć nawet odcień pieszczotliwy. („Mój ty bucuniu kochany, zjedz jeszcze jedno ciasteczko.”) To, co w Krakowie jest bucem na Śląsku jest ciulem, z kolei ten wulgarny śląski ciul w Krakowie jest pojęciem łagodnym, przy jego pomocy można kogoś co najwyżej delikatnie zganić. („Przestańże się wreszcie wygłupiać, ty ciulu.”)

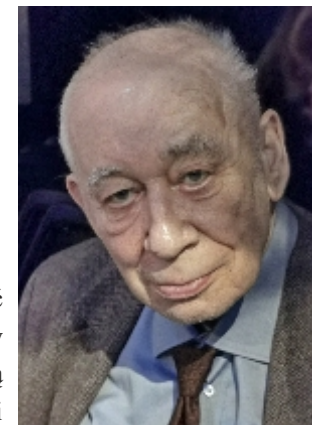
Pięknie różnimy się również i tym, że mimo wszechmocnej dyktatury telewizji wciąż potrafimy pielęgnować nieprzebrane bogactwo terminów przynależnych do sortu regionalnego. Tak więc ja, chłopok znad Rudawy, wciąż wychodzę na pole, a nie na dwór, jadam chrust, a nie faworki, w łazience mam flizy, nie kafelki, na Boże Narodzenie ubieram drzewko, nie choinkę.

Jesteśmy pięknie zróżnicowani i to od pokoleń. Uczyc się tego od nas może cała Unia Europejska.

Grudzień kończący rok, jest okazją do oceny realizacji rocznych zamierzeń, postanowień, osiągnięć i porażek. Niestety w większości, optymistyczne oczekiwania różnią się z przyziemną rzeczywistością. Jednak trzeba powiedzieć o dwóch wielkich tegorocznych sukcesach. Pierwszy ogłosił Minister Zdrowia, że od 1 lipca b.r. nie ma w Polsce epidemii wirusa SARS-CoV-2 i nie trzeba nosić maseczek, jakkolwiek codzienność pokazuje, że covidowy wirus ma się coraz lepiej. Drugi sukces to wybory do Sejmu i Senatu, gdzie Suweren czyli my Obywatele w swojej większości opowiedzieliśmy się za zmianą rządzących. Jak to wyjdzie, czas pokaże. A. M.

Jan Woleński

EDPIZOD O ZŁOTĄ TRAMPKĘ DZIEKANA



fot. B. Zimowski

W końcu lat 60-tych powstał pomysł, aby rozgrywać mecze piłkarskie o Złotego Trampka Dziekana pomiędzy studentami i asystentami Wydziału Prawa UJ. Inspiracją był fakt, że prof. Zdzisław Opiał, znakomity matematyk i prorektor UJ zwykł grać w piłkę ze studencką bracią.

Uczestniczyłem, jako delegat asystentów do Senatu, w jednym takim meczu i pomyślałem sobie, że warto to wprowadzić do życia Wydziału Prawa. Miał to być jeden z punktów programu Juwenaliów – miejscem był uniwersytecki kompleks sportowy przy ul. Piastowskiej. Pierwsze spotkanie odbyło się w 1970 r. (?). Z naszej strony brali udział, obok niżej podpisanego, m.in. (wszystkich nie pamiętam) Zbigniew Doda, Andrzej Gaberle, Andrzej Wasilewski i Andrzej Zoll. Przegraliśmy 1:3, aczkolwiek prowadziliśmy 1:0 i nawet obroniłem karnego (w młodości, byłem bramkarzem trampkarzy i juniorów „Cracovii”). W następnych latach odbyły się kolejne spotkania, zawsze kończone naszymi porażkami. Jedynym wyjątkiem był remis, ale związany z tym, że jedną połowę grały składy mieszane (tj. drużyny złożone w połowie z pracowników i studentów, a drugą czyste, by tak rzec). Ważnym elementem był pomeczowy bankiet w „Żaczku”. W końcu ktoś wpadł na pomysł, aby rozgrywać mecze z reprezentacją odchodzącego roku, nazajutrz po komersie, przy czym grać mogli tylko ci, którzy uczestniczyli w imprezie komersowej, a więc grano na kacu. Pierwsze takie spotkanie, chyba w 1976 r. zakończyło się remisem 3:3. Zasady kolejnego zostały zmienione i na boisko poszliśmy od razu po komersie, gdzieś tak około 5 rano. Kadra okazała zdecydowaną wyższość w tych warunkach – wygraliśmy 8:3. Odbywały się również mecze piłki ręcznej i siatkówki, ze zmiennym szczęściem.

Odbyło się również spotkanie aktorzy-prawnicy – miało ono miejsce chyba jesienią. Graliśmy na stadionie „Cracovii”. Aktorzy wyszli na boisko w strojach więziennych, my w togach. Dopiero potem obie drużyny przebrały się w normalne piłkarskie spodenki i koszulki. Aktorskiej bramki strzegł Jerzy Fedorowicz, ubrany w sweter, który otrzymał od Stanisława Goneta, bramkarza Wisły. W drużynie aktorów grali m. in. Leszek Piskorz, i Jerzy Stuhr. Wygraliśmy, ale już nie pamiętam, ile, w każdym razie dość skromnie. Wieczorem odbył się huczny bankiet w moim mieszkaniu przy ul. Daszyńskiego.



Grafika na zdjęciu, autorstwa Iwony Siwek-Front

GALERIA PORTRETÓW cz.138

Iwona Siwek Front

Andrzej Kozioł

Wszystko było inne



fot. B. Kucharek

Dawniej, wszystko było inne. Przed dniem świętego Mikołaja spadał śnieg i trwał aż do wiosny. Święty Mikołaj też był inny. Prawdziwy, w infule, ornacie i z pastorałem, a nie w czerwonej piżamie i szlafmocy. Przed „Delikatesami”, przed „Hawelką”, zatrzymywał się tramwaj, właściwie tramwaik, staroświecki i mały. Wychodziło się z niego wprost w sosnowy zapach: na zieleni choiny, głowami w dół, zwisały zające, zapowiedź świątecznych pasztetów. Niekiedy przed wejściem, szczerząc zębiska zwane szablami, stał szczeciniasty dzik. Z „Delikatesów” czasami, od czasu do czasu, buchał cytrusowy aromat – nieomylny sygnał, że pojawiła się świąteczna rzadkość, pomarańcze, wówczas jeszcze zawinięte – każda! – w cieniutką bibułkę. Lasem pachniało także wokół ratuszowej wieży. Nasi rodzice jeszcze pamiętali sprzedawane tam kiedyś sery, śmietanę i owoce, dla nas zostały już tylko drzewka, czyli choinki – jak kto woli. Na A-B, u wylotu św. Jana, jak szczupak w akwarium, siedział w budce milicjant. Ze sklepu „Aloza”, snuła się rybna woń, śledziowa i karpiowa, a więc równie wigilijna jak zapach choiny. Z czasem zastąpił ją – i do dziś zastępuje - „zvisowy” aromat kawy, piwa, i wódeczności...

Po zmroku podcieniami Sukiennic przechodził latarnik, zapalał niebieskawe światełka gazowych latarni. Wzdłuż Sukiennic ciągnęły się kramy. Odmienne od dzisiejszych, schludnych i jednakowych jak żołnierze w szeregu. Nieco łachmaniaste, trzepoczące brezentem szarpanym przez lodowaty wiatr. A w tych kramach cuda – kolorowo szeleszczące arkusze cynfolii, anielskie włosy, choinkowe cukierki, długie jak sople, twarde niczym lód. Kręte choinkowe świeczki. Malinówki, jabłka, które po wypolerowaniu lśniły równie pięknie jak bańki.

I jeszcze diabły. Futerkowe, czarne, z wywieszonymi czerwonymi jęzorami, z widłami i łańcuchami w łapach. Nasze, krakowskie czarty, takie same jak ich kuzyn pojawiający się pod Diabelskim Mostem nieopodal Salwatorskiego Cmentarza. Tak przynajmniej sądziliśmy, nie wiedząc, że to wiedeński Krampus, który przywłókł się do nas za Austriakami. Wszystko było inne i my też byliśmy inni.

Bronisław Maj

Kraków - miasto poemat



fot. M. Lepecki

I te dwa bieguny są w Krakowie w sposób naturalny, obecne i oczywiste. I rygor i marzenie, i reguła formy i wolność, i porządek i tajemnica. Jeszcze jeden paradoks, który opisuje Kraków i który czyni go takim przedziwnym magicznym miejscem.

To mianowicie, że to (nazwijmy je tak), wahadło tradycji i współczesności, przeszłości, konserwatyizmu i artystycznej rewolucji. To wahadło w Krakowie właśnie wychyla się najdalej, najbardziej ryzykownie, ku najdalszym biegunom, przeszłości i przyszłości, tradycji i awangardy.

Dlaczego tak jest? Trudno dać tutaj absolutnie jednoznaczną odpowiedź, ale wydaje się, że znów mówi o tym pewien fakt. Otóż w Krakowie, ta tradycja, ta przeszłość, stanowi samą substancję miasta, co oczywiste.

Jest tutaj stale, żywo, intensywnie, obecna. Kraków jest jednym z niewielu polskich miast, które przetrwały rozmaite historyczne i wojenne zawieruchy, jest miastem, które przyrastało warstwami, dlatego tę przeszłość tutaj widać.

I ta mocna, żywa, materialna, intensywna jak nigdzie, tak intensywnie obecna przeszłość, ona tym mocniej prowokuje to, co nowe, do sprzeciwu, do zaprzeczenia, w myśleniu, w sztuce, w poezji.

Powoduje to tym mocniejsze niż gdziekolwiek indziej pragnienie takiego artystycznego, rewolucyjnego, przełamania kanonu, przełamania reguł, przełamania tradycji.

I właśnie tutaj, w Krakowie zapewne ta wojna w cudzysłowie pomiędzy tradycją, a nowoczesnością jest najmocniejsza, najintensywniejsza i najplodniejsza artystycznie, a także poetycko.

Widać to chociażby w całym krakowskim i poetyckim XX wieku i pozwólcie, że kilka tylko takich punktów w czasie pokażę, które zapewne o tym mówią.

Oto przełom XIX i XX wieku w Krakowie, który jest ostoją konserwatyizmu, mieszczaństwa, i takiego zachowawczego spojrzenia na sztukę, pojawia się modernizm.

Tu pojawiają się tacy pisarze jak najpierw Przybyszewski, który to ogłasza szereg modernistycznych, nowoczesnych szokująco wtedy nowych manifestów w swoich pismach. Przybyszewski, Tetmajer, Wyspiański, można by długo tak wymieniać.

Tu jest stolica tego, co nowe, tego co dopiero zdobywa sobie artystyczną i duchową przestrzeń. Ale oto za jakiś czas, nie całkiem długi, bo już na samym początku międzywojnia to, co było nowoczesne, młoda Polska, staje się właśnie skostniałą tradycją dla innych artystów.

I młoda Polska, która jest to oczywiste, takim spadkobiercą tradycji romantycznej, i postromantycznej, staje się znów przedmiotem zacieklego ataku ze strony nowych, nowoczesnych poetów.

Tutaj przecież właśnie w Krakowie rodzi się poetycka i nie tylko poetycka awangarda. Awangarda, która sprawiła, że język polskiej poezji, język myślenia i mówienia o sztuce, stał się już zupełnie innym.

Awangarda, która na pierwszym miejscu stawiała właśnie rygor, ścisłość formy, intelektualną i pojęciową metaforę. Nie od rzeczy będzie tutaj wspomnieć, że papierz awangardy Tadeusz Piper, który dokonał rzeczywiście w swoim piśmie Zwrotnica, takiego niesłychanego zwrotu, i zmienił jakby kierunek całej polskiej poezji i literatury.

Otóż Tadeusz Piper te swoje poglądy i to swoje myślenie o literaturze przyniósł nie skądinąd, a z Hiszpanii właśnie.

Wpływ Unamona i innych wtedy poetów początku wieku XX wieku na Pipera, to temat, na osobne zupełnie studium. Piper, potem to tłumaczył, to jest słynna anegdota z walizką, w której przyjeżdżając z Hiszpanii do Polski, miał swoje bezcenne, i genialne rękopisy, jak z właściwą sobie skromnością mówił.

I oczywiście tę walizkę pełną czystego geniuszu skradziono mu na dworcu w Krakowie, dlatego ten wpływ jest bardziej hipotezą niż rzeczą, której możemy naukowo dowieść.

c. d. n.

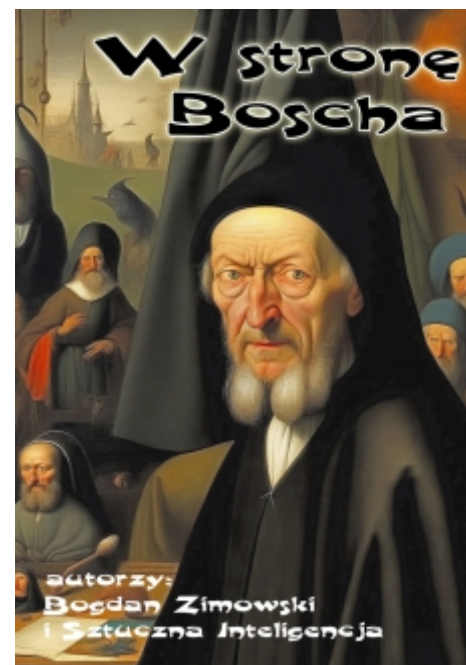
Wykład w ramach konferencji „Barcelona i Kraków - wizje zmian” - MCK 2007

Transkrypcja z nagrania dźwiękowego

„W stronę Boscha” - wystawa grafiki

Autorzy: Bogdan Zimowski i Sztuczna Inteligencja

Prywatna Galeria Autora, ul. Dunin Wąsowicza 20/8
listopad, grudzień 2023



fot. J. Stokłosa



fot. B. Zimowski

Andrzej Matusiak MÓJ DAWNY KRAKÓW MIASTO, LUDZIE, WYDARZENIA na starej pocztówce i fotografii oraz wspomnieniach” (120)

Włodzimierz Tetmajer

Grudzień, kończąc rok kalendarzowy jest też miesiącem, który w 2023 roku kończy uchwalony przez Senat RP „Rok Pamięci Włodzimierza Przerwy Tetmajera” z okazji 100 Rocznicy śmierci artysty. Pochodzący z ziemiańskiej rodziny **Włodzimierz Przerwa-Tetmajer**, urodził się 31.12.1861 r. w Harklowej na Podhalu, a zmarł w Krakowie

26.12.1923 r. Wybitnie uzdolniony artystycznie, kształcił się od roku 1875 do 1886 w Szkole Sztuk Pięknych w Krakowie z krótkim pobytom w Wiedniu. Równocześnie studiował też filologię klasyczną na Uniwersytecie Jagiellońskim. Następnie poznawał sztukę malarską w Monachium, Rzymie i Paryżu, a po powrocie do 1895 roku kontynuował kształcenie w krakowskiej uczelni. W 1890 roku **W. Tetmajer ożenił się z Anną Mikołajczykówną**, córką Jacentego Mikołajczyka gospodarza z Bronowic Małych i tam zamieszkał, wybudowawszy w nich drewniany wiejski dworek. Dom ten stał się 20 listopada 1900 roku miejscem wesela poety i dramaturga **Lucjana Rydla z Jadwigą Mikołajczykówną**, młodszą siostrą Anny, żony W. Tetmajera. Zostało ono uwiecznione w arcydziele polskiej literatury przez **Stanisława Wyspiańskiego** w jego dramacie „Wesele” w którym **Tetmajer** został przedstawiony w postaci „Gospodarza”, a jego żona **Anna** jako „Gospodyni”. W 1903 r. malarz z rodziną przeniósł się do kupionego i przebudowanego pofranciszkańskiego dworku w Bronowicach, gdzie zmarł. Dworek zwany „**Tetmajerówka**” jest własnością rodziny, będąc siedzibą jej fundacji im. Włodzimierza Tetmajera. Natomiast wcześniejszy „weselny” dworek Tetmajera, odkupił w 1908 roku **Lucjan Rydel** i po przebudowie mieszkał w nim do swojej śmierci 8 kwietnia 1918 roku. W 1969 r. po odbudowie budynku, zwanego „**Rydlówką**”, powstało w nim **Muzeum Młodej Polski** krakowskiego PTTK, by w 2018 roku po remoncie stać się **oddziałem Muzeum Krakowa**. **Włodzimierz Tetmajer** był jednym z najwybitniejszych twórców i przedstawicieli artystycznego rodzimego kierunku w sztuce – Młoda Polska. Wszechstronny artysta – malarz, grafik, scenograf, twórca polichromii i witraży (np. w kościele Mariackim, Katedrze Wawelskiej), jak też pisarz, poeta oraz działacz polityczno-społeczny i niepodległościowy, członek PSL, parlamentarzysta. Główną tematyką jego twórczości w malarstwie był obraz wsi w pejzażach, scenach rodzajowych, tradycjach i obrzędowości ludowej, głównie w obrazach podkrakowskich wsi i ich mieszkańców, zwłaszcza Bronowic. Poczesne miejsce zajmowała tradycja historyczna, narodowa i niepodległościowa oraz sakralna. **Włodzimierza Tetmajera** przedstawił w 1988 r. **Krzysztof Miklaszewski** w swoim świetnym fabularyzowanym filmie dokumentalnym „W naturze polskiej jest jakiś błąd” w którym malarza znakomicie zagrał **Jacek Strama** – późniejszy dyrektor Teatru Ludowego w Nowej Hucie. Z okazji rocznicy i Roku

Włodzimierza Tetmajera, **Muzeum Krakowa w Pałacu Krzysztofory** zaprezentowało wystawę przedstawiającą twórczość, życie i działalność artysty pt „**Włodzimierz Tetmajer. Siła barw i temperamentu**”, będącą dużym tegorocznym wydarzeniem kulturalnym.



Kartka poczt. „Przyszli, znaleźli Dzieciątko w żłobie” mal. W. Tetmajer ok. 1911 r.

Przy okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia składam Wszystkim Czytelnikom ich Rodzinom i Bliskim tradycyjnych Wesołych Świąt spędzonych w zdrowiu, zadowoleniu i pogodzie ducha przy sprzyjającej aurze itd. Itp.
ANDRZEJ MATUSIAK

Mikołaj Jurek - grafika



Marek Michalak

Droga do raju cz. 64

Droga do raju... przez Pragę

Pośród wielu przygód na tej drodze pojawiło się dla Old Metropolitan Band na początku lat siedemdziesiątych zaproszenie na międzynarodowy festiwal jazzowy w Pradze. Wiedzieliśmy, zazdroszcząc grania na tym festiwalu starszej krakowskiej grupie, tzn - Jazz Band Ball w roku 1965, że spotkali się z Louisem Armstrongiem. Szans na spotkanie z guru już nie mieliśmy, ale zagrać w słynnym teatrze Lucerna w Pradze, to było coś! Wpadliśmy nawet na pomysł wystąpienia tam we frakach. Dzięki znajomościom w Starym Teatrze w Krakowie udało się nam wypożyczyć kompletne stroje. Sprawa wyglądu na scenie została załatwiona - no nie do końca. Nosiłem wtedy długie włosy, według organizatorów - za długie. Nie do zaakceptowania. Wymyśliłem więc, że wcisnę je pod perukę typu cherubinek. Typowa fryzurka z delikatnymi loczkami blond, nie zasłaniająca uszu. Błądym świtem wyruszyliśmy z Krakowa, żeby zdążyć na wieczorne granie. Wprawdzie to niewiele ponad 500 km, ale bez autostrad spokojne 10 godzin jazdy. Nastawienie pozytywne podłamało się już na polsko-czechosłowackiej granicy. Długa osobista kontrola, spisanie instrumentów no i moje wąsy. Na zdjęciu w paszporcie nie miałem ich. Padło hasło - zgolić. Trudno, wyjąłem maszynkę do golenia i spytałem o umywalkę z wodą. Okazało się, że ten luksus mi się nie należy. Mam zgolić na sucho! Już nie pamiętam, ile gwiazd zobaczyłem podczas golenia. Zapamiętałem natomiast tępy wyraz satysfakcji na twarzy czeskiego żołnierza. Gorzka ślina przełknięta. Pojechaliśmy dalej. Koledzy po drodze żartowali, że z tymi długimi włosami, ale bez wąsów musiałem się bardziej podobać. Szczęśliwie wylądowaliśmy w garderobie „Lucerny”. Szybkie odświeżenie, przebranie się w nasz „nowy” strój frakowy i na scenę. Jak to zwykle bywa podczas koncertów festiwalowych jest ograniczenie czasowe, zwłaszcza kiedy transmituje to TV. Nie będę skromny. Nasz koncert podobał się bardzo. Wykorzystaliśmy margines czasowy na bis, ale publiczność domagała się więcej. Zgoda. Wyszliśmy jeszcze raz ukłonić się tylko. Nagle błysk w mojej głowie. Pokłonię się „czapką do ziemi”, po polsku. Pociągnąłem za czubek peruki i szerokim łukiem przesunąłem po scenie fryzurą „cherubinka”, a moje długie włosy przysłoniły mi lakierki. To był dopiero bis i owacja na stojąco. Poszło to również w telewizji. Po tym incydencie konsekwentnie nie zapraszano nas przez wiele lat na koncerty w Pradze. Tę lukę szybko wypełniły inne kontrakty, a ja w tak zwanym międzyczasie wyrobiłem sobie nowy paszport ze zdjęciem z wąsami, aby móc podążać drogą do raju niekoniecznie pośród tych gwiazd, które wtedy wdziałem przy goleniu.



fort. B. Kucharek



fort. archiwum

Ryszard Łukowski

WICIU

Wybitny i Wspaniały aktor ze Starego Zespołu teatru. Miał wymowę ze specyficznym i staroświeckim dźwięcznym "ł". Wielki i ukochany przez publiczność miał jedną wielką przywarę: po kilku szklaneczkach jego tzw. aparat mowy przestawał działać, i wydobywał się zeń mało zrozumiały bulgot. Wchodził na scenę w komedii Mroźka jako Nieznajomy. Długi monolog miał wprowadzić nastrój tajemnicy i zagrożenia.

Rozpoczął się tak: Państwo tu przy kolacji, a tu dookoła cisza spokój ...kwiatki. Wiciu tupnął nogą na proscenium ..no i zaczęło się - ledwo wybulgotał nie wiedzieć czemukwiatki.

Partner Wicia zbiegł ze sceny, pozostałe towarzystwo w konsternacji patrzyło po sobie. Wiciu rozejrzał się po scenie i wybulgotał ..no to ja też już wychodzę. Aktorzy z mozołem kontynuowali spektakl do przerwy.

W garderobie skruszony siedział Wicio. Prosto ze sceny do garderoby wpadł Binio i syknął: coś ty Wiciu zrobił? - uratowałem spektakl! - jakto uratowałeś przecież zszedłeś ze sceny! - a co miałem bełkotać!?

Andrzej Dyga

Myśli na święta

A na górach mgła
a na czołach szron
co będzie gdy zawieje wiatr
na stawie lód znieruchomiał
słońce rysy maluje różowo
znieruchomiały nam dłonie w uścisku
droga przed zaprzęgiem kręta
układa się jak przyszłość
kopyta stukają z wiarą po bruku
tam na kartce śniegu po choince ślad
z zielonymi przecinkami igieł
u nas po mroźnej Barbarze
chlap chlap chlap

Z tomiku „kolęda bezdomnego”(2010r.)

Krzysztof Miklaszewski

SPEKTAKLE, O KTÓRYCH WARTO PAMIĘTAĆ

Premiera grudnia

<POWRÓT DO DOMU> Harolda PINTERA
Reżyseria: Jerzy GOLIŃSKI



foto: archiwum

Premiera: Teatr im. Słowackiego - Kraków, 16 grudnia 1967

* * *

Goliński - odkrywca Pintera

Pamiętam dobrze reakcję Harolda Pintera, którego udało mi się zaskoczyć w ogrodniczym trudzie... kultywacji własnego ogrodu, otaczającego jego bogatą rodzinną rezydencję na jednym z wzgórz londyńskiej bardzo zielonej dzielnicy - Holland Park, kiedy to jesienią 1990 roku ze specjalistycznym podręcznikiem w ręku przemierzałem ulice i place stolicy Wysp Brytyjskich w nadziei rekonstrukcji listy znanych pisarzy, mieszkających kiedyś w poszczególnych dzielnicach miasta.

A ponieważ ta reakcja dotyczyła bardzo udanej krakowskiej, polskiej prapremiery jego sztuki "Housecoming", która w grudniu roku 1967 pojawiła się na szacownych deskach Teatru imienia Słowackiego, zainteresowanie jej autora okazało się bardzo szczególne. Znaczyło to również, że zaskoczony dramaturg zaskoczył równie mocno swego niespodziewanego gościa. Stało się bowiem wtedy przede mną karkołomne zadanie: nieobytemu całkowicie ze sceną polską Pinterowi - mistrzowi teatralnego słowa - wytłumaczyć w jego własnym języku - nie tylko artystyczne przyczyny fantastycznej reakcji młodej krakowskiej widowni. Zwłaszcza, że ta widownia ten grudniowy wieczór premiery przedłużyła prawie do białego rana dyskutując zaciekle w gościnnym studenckim klubie "Pod Jaszczurami" z wykonawcami. Na dodatek - dlatego jeszcze, że swym aktorom przewodził inscenizator sztuki. Jerzy Goliński [1928 - 2008] krakowski interpretator "Powrotu do domu". A ten to świetny aktor i reżyser, który w latach 1990-1992 prowadził nawet scenę narodową przy krakowskim Placu św. Ducha, a całe swe bardzo pracowite życie artystyczne wiódł zawsze między Gdańskiem [Teatr Wybrzeże] a Krakowem, był nie tylko znakomitym pedagogiem [krakowska PWST], ale przede wszystkim - bardzo doświadczonym dyskutantem - wytrawnym interlokutorem, zdolnym zawsze nie tylko zainspirować i poruszyć twórczo zarówno liczne grono swych wyznawców, ale i przekonać do swego punktu widzenia największych sceptyków i nieprzejednanych przeciwników.

Dziś sytuacja zdaje się powtarzać: młodemu, nie znającemu całkowicie krakowskich tradycji kulturalnych pokoleniu tłumaczyć muszę, dlaczego to ten spektakl Golińskiego sprzed lat 36. powinni właśnie zapamiętać.

Po pierwsze dlatego, że ten - niezbyt dziś dobrze oceniany w samej Anglii - dramat napisany przez tego noblistę z roku 2005 jeszcze w 1964 dotyczył ukrywanych skrętnie <tajemnic rodzinnych>, które w naszych czasach stanowią tabu, odkrywał społeczne zakłamanie. Po drugie, że Goliński znakomicie zrozumiał to przesłanie bardzo radykalnego społecznie autora, że ostro i bez ogródek uwidocznił publicznie jednostkowy dramat rodzinny to szansa na zmianę zatamizowanego społeczeństwa, uwikłanego w gąszczu obowiązujących stereotypów w myśl mieszczańsko-socjalistycznej, a jednocześnie mocno religijnej przypowieści, że "rodzina to rzecz święta".

Pinterowski "Powrót do domu" zdawał się obalać wszystkie tego typu miraży i złudzenia. Poddana bowiem scenicznej wiwiseksi typowa amerykańska rodzina powracającego z Anglii naukowca - Teddiego to przykład moralnej zgnilizny, usankcjonowanej w jego wyobraźni - familijnymi więzami. Wszyscy oni - razem i z osobna - pozbawiają powoli przybysza wszelkich złudzeń o rodzinnej wspólnocie. Zarówno ojciec Teddiego - Max - emerytowany rzeźnik, jaki i jego brat - taksówkarz Sam, a także mieszkający z nimi - braciśzkowie profesora z Wysp: jeden prymitywny robot, drugi zaś - wyrafinowany i cyniczny sutener - seksualnie napaleni na żonę przybysza Ruth, to bowiem ludzkie kreatury. Ta ostatnia - zresztą - też do nich dołączy, kiedy okaże się nie tyle <nawróconą na drogę cnoty> prostytutką, co "panienką" skłoną nadal - na oczach męża - do uprawiania swych burdelowych praktyk.

Goliński postarał się jednak ten obraz amerykańskiej Sodomy i Gomory uczłowieczyć. Pomogli mu w tym wydatnie aktorzy, a zwłaszcza Teresa Budzisz - Krzyżanowska (Ruth) i Eugeniusz Fulde (Sam), którzy sprawili, że tragedia rodzinna zza Oceanu przypominać nam zaczęła prawdziwe dylematy socjalistycznej ... Polski.

Miki Obłoński



W wieku 85 lat odszedł od nas Miroslaw „Miki” Obłoński, autor tekstów, piosenkarz, wybitny artysta Piwnicy pod Baranami. Był pierwszym wykonawcą, wraz z Ewą Sadowską piosenki „Niebieska patelnia”, nagrodzonej w 1964 r. na Festiwalu w Opolu. W przeszłości pracował w Teatrze STU, Starym Teatrze, i telewizji TVP Kraków.

Andrzej Pacuła

Kalenda bezdomnych psów

Już na niebie pierwsza gwiazda
i nad stołem pachnie barszcz
Ktoś wyrzucił kundla z auta
igły mrozu kłują w kark
Okna błyszczą lampionami
i prezenty trzeszczą w szwach
Ze spaceru z pustą smyczą
wraca psem znudzony pan
Nozdrza skręca zapach z kuchni
i z komina tłusty dym
Wyją w niebo psy bezpańskie
głodną pieśń o życiu psim

*Gdzie jest dom dla kundli szarych
gdzie jest raj bezdomnych psów
Gdzie jest niebo wilków starych
którym karki łańcuch skul*

Tańczą gwiazdy nad schroniskiem
księżyc gryzie tłustą kość
Psy bezdomne w klatce zimnej
skuczą: *d o m* - szczekają: *d o ś ć*
Nikt kolędy psiej nie słyszy
tylko głód zjeżona sierść
Skowyt marznie w mroźnej ciszy
w pustą miskę... pada śnieg
Ulitował się Pan Jezus
i otworzył niebo psom
I każdemu pod choinkę
dał opłatka białą kość

*Mają gwiazdkę kundle szare
mają raj bezdomne psy
Pod choinką ciepłą miskę...
...i nie boli ich już nic*

Długie Ogrody, 19. IX. 2019+4



foto. B. Kucharek

Iwona Siwek - Front



Wojciech Włodarczyk

Wiersz optymistyczny o początku zimy

To już z pewnością zima -
znać po iskrach z komina,
co ulatują w nieznane,
jak w sierpniu żuraw z bocianem.

Tak, to już zima
bo piec policzki nadyma
i iżeje ogniem jak smok -
czekamy na Nowy Rok...

Nie zabraknie nam węgla tej zimy:
mnie, ni sikorkom słoniny,
a i wrony umazane sadzą -
też sobie jakoś poradzą.

Z tomiku „Bimber z mirabelek”

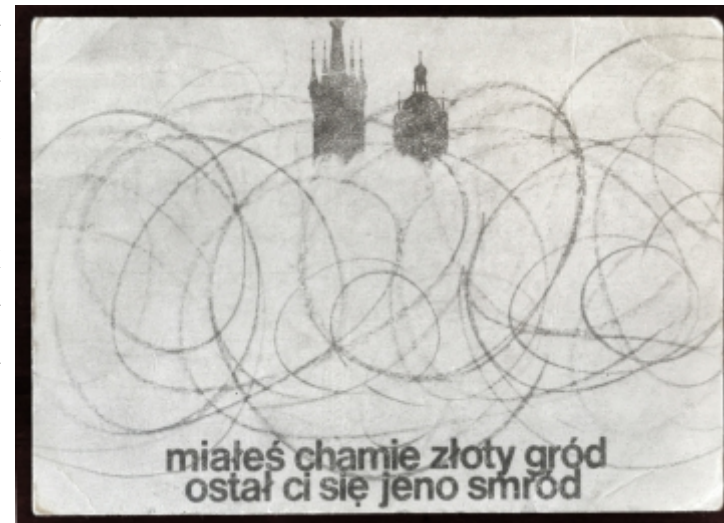
Kraków, według Sztucznej Inteligencji



Marek Sosenko

W świecie filokartystów, istnieje teoria, że pocztówki z dużych miast, zwłaszcza z widokami Rynku, szczególnie pochodzące z okresu powojennego, to coś pospolitego i niegodnego zbierania. Żeby zadać kłam tej teorii, przyjrzyjmy się niezwykle widokowi Krakowskiego Rynku. Mamy przed sobą pocztówkę z 1981! [sic], wydaną przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Krakowa, towarzyszącą Honorowemu Konkursowi na plakat „Kraków nie może umrzeć”. Z pocztówki dowiadujemy się, że drugą nagrodę uzyskał plakat Wojciecha Naczosa i Władysława Pluty (prezentowany na pocztówce).

Czterdzieści dwa lata temu problem zanieczyszczenia powietrza był doskonale znany, a niedawno ponownie go odkryto i zatkało Krakowianom kominy. Myślę, że plakat zwycięzcy i trzeci nagrodzony również znalazły miejsce na pocztówkach, więc jeśli ktoś takowe posiada, niech się pochwali na łamach „gazetki”. Dla



przeciwwagi spójrzmy na pocztówkę z 1958 roku jak „okazałe dymy” produkowała koksownia Huty im. Lenina. Twórcy wielu pocztówek Maria Orłowska-Gabrys i Aleksander Haupt opowiadali mi przed laty, jak cenzura zatrzymała ich projekty przedstawiające kominy huty bez dymu, zarzucając artystom nawoływanie do sabotażu związanego z przerwaniem produkcji stali.

Ladislav Volko

Liścik z Bratysławy nr. 106



foto. N. Pazdej

Nic nie mam/Zdmuchnęła mnie ta jesień całkiem/Nawet nie wiem/Jak tam sprawy za lasem/Rano wstaję, poemat chwale/Biorę się za słowo jak za chleb/Rzeczywiście tak jak księżyc/Ludzie znają mnie tylko z jednej/Jesiennej strony... tak śpiewa, dla mnie do tej pory, nieznaną piosenkarką Elżbieta Adamiak przepiękny wiersz Jesienna zaduma Jurka Harasymowicza. Bo jesień rzeczywiście tu, trochę melancholijnie się dzieje a jednak kultura jak gdyby wbrew czasowi pokazuje się z bardziej aktywnej strony. Wystawy, promocje książek, premiery teatralne i filmowe, festiwale i festyny, rozmaite targi...na przykład już po raz 29-ty Międzynarodowe Targi Książki Biblioteka (10. - 13. 11. t.r.) w moim mieście, więcej niż 65 wydawców, chociaż tym razem z zagranicy ich nie było dużo. Jednak na Bibliotekę przyjechali słowaccy wydawcy z Czech, Polski, Rumunii, Serbii i Chorwacji i Węgier, którzy reprezentują słowacką mniejszość w tych krajach. Różnorodne bardzo interesujące publikację, książki, gazety i pisma literackie zainteresowały miłośników słowa pisanego. Spotkania twórców, te oficjalne z publicznością, jak i te bezpośrednie z twórcami, i dziennikarzami miały swój niebывały urok. Towarzystwo Słowaków w Polsce i Wydawnictwo Goralinga z pełnym energii sekretarzem generalnym Towarzystwa, Ludomirom Molitorisem prezentowali swój dorobek. Pismo Život wychodzi 65 lat, publikowane są bardzo interesujące książki historyczne, którymi są zainteresowani również czytelnicy na Słowacji. Po stopách templárov na Slovensku autorstwa: M. Jesenský, P. Matula (2008), Jánošík – skutočná história karpatského zbojníka S. A. Sroku (2009) albo tegoż autora, profesora na Uniwersytecie Jagellońskim Bardejov v XV. storočí (2011), która jest częścią książki wydanej po polsku – Średniowieczny Bardejów i jego kontakty z Małopolską (2010). W Bibliotece tym razem prezentowano pięknie ilustrowaną książkę przez mojego przyjaciela Martina Kellenbergera i autorstwa Viktora Majerika i Mariana Servatki: Pastierik na zlatom voze (2023), opowieści z obu stron Zamaguria. Pastierik na zlatom voze luźno nawiązuje do książki opowiadań również z Zamaguria - Vodníkové zlaté kačky (2013) i Kráľ hadov strážca pokladov (2015). Aktywna działalność powinna być nagradzana ale bardzo często się tak nie dzieje. W poprzednim Liściku nr. 105 pisałem o wspaniałym spotkaniu z okazji 30 lecia RS i 15 leciu Konsulatu Honorowego w Zakopanem, które miało miejsce w Nowym Targu. Pytałem gdzie jest reprezentacja Towarzystwa Słowaków. Nie ma. Nie dostali zaproszenia. Może przez pomyłkę ...? Kto jak kto, ale Konsulat Honorowy Republiki Słowackiej powinien wspierać i pomagać mniejszości narodowej, tym razem Słowaków, na swoim terenie. Bo są tutaj od lat i wzbogacają życie na tych ziemiach. To jest jedna z ról konsulatów honorowych na całym świecie. I tego przykładem są chociażby polskie konsulaty honorowe na Słowacji.

Stefan Szlachtycz

FILIPAK, Adieu - cz. 8 (ostatnia)



foto. archiwum

Mija znów kilka lat. Mam dla TVP realizować serial „Srebrne orły” i zamierzam obsadzić R. F. w roli Bolesława Chrobrego, dostrzegam w obu znaczne podobieństwa charakterologiczne. Kierownik produkcji z trudem odnajduje go, gdzieś w Polsce. Spotykamy się w Warszawie. Mam przed sobą człowieka zadowolonego i spełnionego. Orientuję się, że to jest nowy, trzeci etap „C” (jak Ciszka) jego życia. Porzucił film, teatr, aktorstwo i Kraków. Wcześniej zgromadził pewną sumę - od kiedy przestał wydawać na alkohol, jest zamożny. Kupił tabun koni, ma wspaniałą dziewczynę i wraz z nią prowadzi stadninę gdzieś w zamojskiem. Jest teraz niezależnym panem samego siebie. Ale, dla Chrobrego i... dla mnie jest gotów, chwilowo to zawiesić. Stawia wszelako jeden warunek: główny bohater serialu nie może nosić imienia Aron! Daremnie tłumaczę, że to postać historyczna, pierwszy krakowski metropolita, Irlandczyk. - Nie, z Aronem on nie zagra. Muszę coś wykombinować. - Nie musiałem, do realizacji nie doszło.

Minęły następne lata do przypadkowego, ostatniego już spotkania na żywo. Obraz, jaki RF przedstawiał sobą teraz, był gruntownie odmienny od wszystkich poprzednich. Nie było w nim cienia nieodłącznej hucpy (przepraszam, Filipaka za ten żydowski termin). To był... człowiek przegrany i załamany. Wyznał, że „wspaniała dziewczyna” pozbawiła go wszystkiego. Siebie, stadniny, miejsca zamieszkania i... pieniędzy. Tuła się z walizką, gdzieś po obrzeżach Warszawy. Odmówił zaproszenia na obiad.

Czekało mnie wszelako inne, zaskakujące z nim zetknięcie. W przypadkowo otwartym kanale Telewizji Trwam, usłyszałem zapowiedź filmu Ryszarda Filipskiego (!). Byłem tak poruszony, że zapomniałem co to był za film, jakiś dokument. Zastanawiałem się, czy przed realizacją Ojciec Dyrektor wysłuchał spowiedzi autora? Zdaje się, że on sam też wystąpił po emisji, mówił z przejęciem o najwspanialszej, życiowej partnerce, scenarzystce opusu. Jej nazwisko okazało się tożsame z nazwiskiem autora poloneza „Pożegnanie Ojczyzny”...

Później, już tylko z plotek słyszałem, że popadł w ubóstwo graniczące z nędzą. Ta sprawiła powrót do aktorstwa filmowego. Nie był to tryumfalny „come back”. Nie znam też okoliczności jego śmierci, i - zdaje się - są, z jakichś powodów okryte dyskrecją. Miał sześć żon, w tym jedną ślubną, z nimi dziesięcioro dzieci (!). Wiedząc o jego patencie na unieważnianie ojcostwa, mogę podejrzewać, że więcej. Zostawił po sobie... właśnie, co? Bogaty dorobek aktora filmowego, i znacznie bogatszy materiał na scenariusz filmu fabularnego o Kimś, bo to był „Ktosiu”, jak się mawia w Krakowie. „Filipak” był kochany, ale bardziej nienawidzony. Sporo w to włożył pracy. Mimo wszystko miałem i mam nadal, rodzaj słabości do niego. Miałem też dla niego inną, pieszczotliwą ksywę. Najpierw usiłował mnie zastraszyć, bym jej nie rozpowszechniał, potem (co mu się nie zdarzało) poprosił mnie o to. Teraz już mogę ją ujawnić. Brzmiała: WENERYSIO SYFILIPSKI.

Jerzy Antkowiak

**„ODWIECZNE PIEŚNI”???,
TAK – ODWIECZNIE DOBRE OBYCZAJE
OTO OBIECANE CZYTELNIKOM
WSPOMNIENIE PREMIERY BALETOWEJ
W ŁODZI – MUZYKA KARŁOWICZA –
CHOREOGRAFIA
CONRAD DRZEWIECKI
ORAZ OBOWIĄZKOWO DĄSY
„MŁODYCH GNIEWNYCH”. BYŁO PIĘKNIE!!!**



fot. archiwumi

30 marca i 1 kwietnia 2023 r. jestem w ŁODZI na baletowej premierze, polskie tematy, polskie góry, muzyka, no po prostu zapowiada się polski „wieczór patriotyczny” lub „ku pokrzepieniu serc”. Nie pokpiwam, chociaż, kto mnie zna..., ale nie tym razem, nie jestem w „MIEŚCIE ŁODZI” sam, jestem z DOMINIKA, a skoro tak się sprawy mają, to żarty odkładamy ad acta. Myślę, że nawet bardziej „AD ACTA”, bowiem DOMINIKA jest moją córką i zupełnie inne role mamy tutaj w „MIEŚCIE WŁÓKNIAREK” do odegrania. Oboje potrzebujemy wcale nie przysłowiowego „niebiańskiego spokoju” tylko zwyczajnego poszanowania innych norm, form i spokoju, jest to oczywiście mój apel do mnie, koniec, kropka - jak mawiał wielki krojczy...

DOMINTKA przyjechała do zespołu BALETOWEGO OPERY ŁÓDZKIEJ, aby odtworzyć balet KARŁOWICZA, w którym tańczyła rolę EWY, w towarzystwie prawdziwie rajskim: ADAMA, KAINA, ABLA I WĘŻA. Teraz w epoce „kanciastej gimnastyki baletopodobnej” miękące linie i rysunek piękna gestu i urody owalnych form ciała ludzkiego to jest coś tak potrzebnego, aby normalnie oddychać jak dźwięk czy głos literatury romantycznej, poezji delikatnej, muzyki skrzypiec, przysłowiowej, mojej obsesyjnie ulubionej ROLI CISZY W MUZYCE...

Wyjaśniam czytelnikom, że do Łodzi, nie „do łodzi”, bo w Peerelu ideałem kobiecości była obok TRAKTORZYSTKI i spawaczki, słynna ŁODZIA MILICJANTKA, a ja chciałem napisać, ŻE DO ŁODZI, a prawdziwiej DO MIASTA ŁODZI POJECHAŁEM nie mądrzyć się w recenzowanie, bo DOMINIKA słynne spojrzenie i ledwo drgnienie ramion jest recenzją miażdżącą każdego śmiałka. Zwyczajnie do Dominiki pojechałem wesprzeć córkę „w obcym mieście” po ojcowsku, ale i po, kumpelsku bo oboje jesteśmy dobrze po etapie bywania STARSZĄ MŁODZIEŻĄ.

Przez około półtora miesiąca DOMINIKA przekazywała tancerzom choreografię CONRADA DRZEWIECKIEGO, a był już po takich wirujących cudёнkach, jak BŁĘKITNA RAPSODIA, czy CUDOWNY MANDARYN.

W tamtych latach 60-tych TARGI POZNAŃSKIE kwitły MIĘDZYNARODOWO a „MY MODOPOLSCY” czyli MADAME GRABOWSKA, plastycy Antkowiak, Biegańska, technicy, garderobiane, ulubione modelki pani Jadwigi - Małgosia Blikle i Ewa

Fichner w nocy przed otwarciem TARGÓW – PAWILON MODY POLSKIEJ urządziliśmy na wzór pierwszego prawdziwego OŚRODKA WZORNICTWA.

Przepraszam, miało być o ŁODZI, a wspomnienie Targów wywiodło mnie do POZNAŃA – teraz sam się pogubiłem – CZYTELNIKU DROGI nie odkładaj naszej gazetki. U mnie ARMAGEDON sięgnął ZENITU – właśnie zabierane są obrazy, szkice, ubiory na dzisiejszy (4 LISTOPADA 2023 r.) WERNISAŻ, o którym Państwo przeczytają w następnym miesiącu. NA RAZIE NIE WIEM JAK SIĘ NAZYWAM!!!

Wracamy na salę baletową i DUŻĄ SCENĘ OPERY ŁÓDZKIEJ 30 marca i 1 kwietnia SOBOTA i NIEDZIELA, są DWIE PREMIERY, SPOTKANIA, ROZMOWY, PODZIĘKOWANIA, LAMPKA WINA, DOMINIKI ZNAJOMI, ALE I TANCERKI, TANCERZE JEST MIŁO, RADOŚNIE.

Będąc już teraz widzem rzadkim, ale też widzem mało radosnym, w towarzystwie PANA PESELA nie, nie bywa nadmiernie komfortowo i już koniec marudzenia.

Komfort był przy okazji wślizgnięcie się do OPERY POZNAŃSKIEJ na spektakl, PREMIERY czy WIECZÓR BALETOWY wyslizgując się za zgodą TARGÓW z czegoś nudnawego. W WIECZORZE łódzkim po pięknie dla „starego pana” tańczonych ODWIECZNYCH PIEŚNIACH, ale organizacja pewnych ustaleń zepchnęła (światło, kurtynę, ukłony przed kurtyną z dojściem tancerzy pewnie koniecznym dla zyskania czasu), wszystkie te „zabiegi” doprowadziły wybitnego CHOREOGRAFA zapewne WYBITNEGO NIEŻYJĄCEGO GOŚCIA WIECZORU – CONRADA DRZEWIECKIEGO do roli PRZYSTAWKI PRZED DANIEM GŁÓWNYM.

DUMNY TATA, bywa, że przyjazny złośliwiec, dumny, bo córka „w głowie” nie PATEFONIE, TELEFONIE, ale z fragmentem nagrania sprzed pół wieku, a także nie ze szkiełkiem, ale z „PAMIĘCIĄ, UCHEM I OCZKIEM” przywróciła do scenicznego życia KARŁOWICZA i DRZEWIECKIEGO „DOBRO NARODOWE” ODWIECZNE PIEŚNI!!!

Za zgodą „Głosu Pruszkowa”



„Odwieczne pieśni”, fot. Joanna Miklaszewska. Na zdjęciu: Laura Ryngajłto oraz Dominik Senator



fot. J. Papp

Andrzej Wyrobiec

W Nowy Rok z Bagatelą!

Najczęściej w połowie listopada, na mniej lub bardziej formalnym spotkaniu towarzyskim, pada nieśmiertelne pytanie: a co z sylwestrem? Macie jakieś plany?

Gdy byliśmy młodszy ta kwestia była poruszana nie wcześniej, niż dzień przed Wigilią. Spontan wychodził znakomicie, zwykle kończyło się Pod Jaszczurami albo w Piwnicy, sprawa „kasy” w ogóle nie była „sprawą”, a największym wyzwaniem było dotrwanie w jako takiej formie do rana. Bywało, że zabawa kończyła się w okolicach Trzech Króli, ale kto zwracał uwagę na takie drobiazgi?

Dzisiaj, jako osoby ustabilizowane w metrykach, wszystko planujemy z wyprzedzeniem. Stąd tym którzy chcą ostatni dzień roku obejść bawiąc się szampańsko, podsuwam pomysł: spędź sylwestra w Teatrze Bagatela! Gramy nasz przebój „Bagatela śpiewa”. Na scenie jest śpiewająco, kolorowo, tanecznie i dowcipnie. Bywa też nostalgicznie.

Kto nie widział do tej pory widowiska muzycznego w reżyserii i z udziałem Krzysztofa Materny, ma wspaniałą pretekst by tę zaległość nadrobić. Ci którzy widzieli wiedzą, że będą się wybornie bawić z muzyką na żywo pod kierownictwem niezawodnego Konrada Mastylę. Przypomnimy Wam także i „Piwniczne” przeboje.

Żeby nie być gołosłownym przytaczam fragment recenzji Dariusza Łanochy, który tuż po premierze tak entuzjastycznie ocenił nasz spektakl: „Od pierwszej do ostatniej minuty, a ta była minutą 110-tą, świetnie się bawiłem. Podśpiewywałem, wspominałem, w fotelu podskakiwałem, przytupywałem, wybuchałem śmiechem, a nawet łza smutnej refleksji po mnie spłynęła. Zaprawdę, piszę Wam, że tak było, czego Wielce Szanowna Małżonka świadkiem, gdyż nawet uwagę mi zwracała na moje niestosowne do szacownego Teatru zachowanie. Wy tłumaczyłem jej cichutko, że nie mogę reagować inaczej, kiedy słyszę takie piosenki, jak: „Taka głupia to ja już nie jestem”, „Czarna Alibaba”, „Tango Anawa”, czy „Rzuć to wszystko, co złe”.

I właśnie słowa napisane przez Leszka Długosza niech będą najlepszymi życzeniami na Nowy Rok:

Rzuć to wszystko, wszystko co złe

Co gnębi cię

Zostaw troski za sobą gdzieś

I ze mną pędź

Właśnie ze mną!

Ty ze mną obok ja z tobą

Niech szampan strzeli nam na drogę

Zwyczajne w nadzwyczajne znów odmieńmy dni...



Emilia Ratkowska

spekulacje

ewolucją jesteś
czy gałązką wilczej jagody
myślą
czy zapisem zagubionych foliałów
może słońcem
jak w czasach gdy to ono było bogiem

może polem informacji najwyższej wartości jesteś

gdy pogodzona jestem ze sobą
mną jesteś a ja tobą jestem

gdy zatrwoży mnie małość moja
troszeczkę spochmurniały jesteś
i mniejszy troszeczkę

a gdy zanikam - zanikasz
a gdy zanikasz - boleję

więc bądź mi w pierścionku
w konwaliach
w wygiętym łuku brwi
i bioder
w ciepłym podmuchu
rozgrzanego piekarnika

tam będę

chciałabym dopaść przyszłe myśli
wymknąć się
poza krótką chwilę gdy jestem
przeniknąć
nierozpoznawalne
w jedenastu wymiarach

Z tomiku „Paradoksy” (Kraków 2023r.)



fot: archiwum

plaskowyz

świat jest płaski jak naleśnik

zwinęty w rulonik
jest nową wartością
jak zrolowany czas

jak strolowana ważkość

prezencik

dla sponiewieranych
przygaszonych
wyciszonych
smutnych
mam dziś
mokre nadmorskie kamyczki

skromną wersję
międzygwiezdnych światów



Zasłyszane lewym uchem, czyli kronika towarzyska:

*Wieści ze Zwisu i okolic zasłyszane przez
Nadredaktora B. K.*

Odszedł Mirosław „Miki” Obłoński, jeden z ostatnich artystów „starej” Piwnicy pod Baranami. Żegnamy Go, w imieniu bywalców „VáV”

Wraz z likwidacją letniego ogródka odleciał na zimowe leże ostatni zwisowy ptak. Ile z nich powróci na wiosnę?

Sztuczna inteligencja na stałe zagościła wśród zwisowych fotografików. Trochę żal starej, czarno-białej techniki fotograficznej. Ma swój urok.

Na początku listopada odbyło się uroczyste otwarcie kolejnej wystawy, w prywatnej galerii Bogdana Z. „W stronę Boscha”. Autorami wystawy są Bogdan Zimowski i Sztuczna Inteligencja.

„Nocna Zmiana” zatracza swój kobiecy klimat. Na jej spotkaniach pojawia się coraz więcej chłopów spragnionych słodczy. Ciekawi jesteśmy, czy przynoszą jakieś swoje wypieki.

Powrócił z wojaży po Hiszpani kronikarz kawiarenki „Vis á Vis”, a z nim pojawiły się na facebooku filmiki i zdjęcia.

W związku z nasileniem się zachorowań na covid i grypę prosimy bywalców by ubierali się ciepłej i unikali poza pobytem w „VáV”, większych zgromadzeń publicznych.

Dzięki dostarczeniu brakujących numerów przez p.Elżbietę Szymczyk z Piotrkowa Tryb. państwu Jolancie i Artkowi Siejkom z Przasnysza i Andrzejowi Kowalskiemu z Krakowa, Biblioteka Jagiellońska skompletowała wszystkie roczniki naszego pisemka. Dziękujemy.

Bywalec zaczepiony na ulicy usłyszał propozycję: „Niech się pan mną zaopiekuje! Nie! Dlaczego? Nie lubię kobiet! Usłyszał: Ty pedale! A rodzice ostrzegali przed ulicznymi znajomościami!

Grudniowy numer naszej gazетки został wydrukowany dzięki zaangażowaniu się: Janeczki A., Jerzego F., Małgorzaty Cz. i Krzysztofa M., Kierownictwa „Vis á Vis”, Elżbiety S., Filipa R., Bogusława K., Zygmunta D. **DZIĘKUJEMY!**

Halloween w Zvisie



fot. B. Zimowski, J. Stokłosa

Gazetka Vis a Vis: Copyright reserved by Bogusław Kucharek.
Wszystkie materiały publikowane są za zgodą autorów



Andrzej Dyga

materiały: Bogusław Kucharek,
skład i współpraca: Bogdan Zimowski
korekta: Andrzej Kowalski
sekretarz redakcji: Magda Konopska

Kontakt: Półeczka Vis á Vis,
www.zvis.pl
zwisrynek@gmail.com



visaviskrakow